

Od paru dni biegamy na cmentarze, a od dziś będziemy tam codziennie przez jakiś czas. Kwiaty, wieńce, lampiony, znicze. Kładziemy, zapalamy. Stajemy, milczymy, wspominamy, modlimy się.

Nasze cmentarze są coraz ładniejsze, nagrobki solidne, alejki uprzątnięte, jest ład i porządek. Czasem, gdy ktoś kładzie na płycie wieniec, rozlega się nagle słodkie Ave Maria, taki samograj, łzawa pociecha, nowoczesny kicz.

Nikommu z nas jednak nie wystarczy wiedza, że wszyscy umierają, że każdy człowiek rodzi się i znika, że tak już jest i być musi. Wiedza ta, dołączona do wszystkich obrzędów, odprawianych na cmentarzu i wszystkich ceremonii religijnych, ostatecznie nie zagłuszy w człowieku – choćby odrobinę wrażliwym i czułym – niezgody na śmierć. Sam nie wiem, czy listopadowe uroczystości, to bardziej zorganizowane obchody pamięci o zmarłych, czy estetyczna machina zagłuszania niezgody na śmierć.

Nigdy i nigdzie nie mamy możliwości wykrzyczenia tej oczywistej niezgody. Owszem, wycieka z nas po trochu we łzach, łkaniach, ciężkich westchnieniach czy krótkich wzdrygnięciach na samą myśl o śmierci. Ze śmiercią obchodzimy się coraz ciszej i bardziej kolorowo. Mocne tabletki uspokajające zamieniają naturalny szloch, lament i krzyk, w ciche chlipanie i mętne otępienie. Dawne czarne ornaty zastąpione zostały na pogrzebach fioletowymi, z pasemkami złota. Klimat wokół śmierci ma być spokojny, kulturalny i stonowany.

Nie mówię o lęku przed śmiercią, bo tego w miarę upływu lat się pozbywamy. Mówię o niezgodzie, sprzeciwie wobec śmierci, własnej i najbliższych. O niezgodzie, którą trzeba w pierwszej wypowiedzieć przed sobą samym, o której warto rozmawiać z najbliższym przyjacielem i którą – przede wszystkim – mamy prawo wykrzyczeć, bezceremonialnie i wprost, Bogu. On jest w pierwszym rzędzie adresatem naszej niezgody na śmierć. On, który jest Życiem i który nam dał życie. Co to jednak za podarek, kiedy trzeba go oddać, i to jeszcze nie wiadomo kiedy i jak? Dostaliśmy zabawkę, jakże wspaniałą, ale zostanie nam odebrana.

Na każdym nagrobku, gdy odwiedzam cmentarze, szukam krzyża. Jest czasem wpisany w płytę, częściej zwieńcza całość. Dla mnie to najważniejsza część grobu, nic bardziej nie umacnia mojej nadziei. Żadne rzeźbione anioły czy wymyślne motta czy symboliczne znaki przerwania czyjegoś losu (np. złamane w pół drzewo). Krzyż przenosi mnie do tajemnicy

śmierci Chrystusa, gdyby Jego śmierć była bez sensu, wszystkie śmierci i wszystkie życia byłyby bezsensowne.

On, który jest Życiem, doznał śmierci, nie zgadzał się na nią, tak jak ja i każdy z nas („Ojcie, oddal ode mnie ten kielich ...”). On, który jest Życiem, doznał śmierci i pokonał ją, On jest śmiercią śmierci, jest Życiem mocniejszym od śmierci.

W krzyżu Chrystusa, znaku Jego śmierci, sensu nabiera każda śmierć, ale i każde życie. Patrząc na krzyż, wiem, że życie przechodzi przez etap śmierci, a ponieważ nie jest to etap końcowy – bo powstaje nowe życie – sens ma także to życie, które mam teraz.

W spojrzeniu na nagrobny krzyż łączę swoją niezgodę na śmierć z Chrystusową niezgodą na śmierć. Odnajduję w krzyżu kogoś, kto nie zgadzając się na nią, przyjął ją i pokonał. Prawo do niezgody na śmierć jest prawem przyzwoitego człowieka, usankcjonował je sam Chrystus.

Kiedy odnajdę na nagrobku krzyż, szukam miejsca, gdzie mogę postawić lampion, znicz czy położyć kwiaty. Bez krzyża, byłby to estetyczny zabieg zagłuszania niezgody na śmierć. Z krzyżem, każda forma ogłaszania nadziei, ma sens.

ks. M. Puzewicz